# ŚWIATŁO

Rok IX. — Bytom G.-Szl., 1-go Września 1895. — Nr. 17.

„ŚWIATŁO“ wychodzi dwa razy na miesiąc, co 1-go i 15-go każdego miesiąca. — Przedpłata kwartalna wynosi **1 markę** = 75 cent. Zeszyt pojedyńczy kosztuje 18 fen. = 13 centów. — Abonować można na każdej poczcie, (Zeitungs-Preisliste **t** 101) w każdej księgarni, u agentów i z Wydawnictwa „Katolika“ w Bytomiu na Górnym Szlązku (Beuthen O.-S.) — **Ogłoszenia** przyjmują się za opłatą 20 fen. od **3**-łamowego wiersza drobnym drukiem.

# Gabryel Hołubek,

## SŁAWNY GÓRNIK I BOHATER POLSKI.

**POWIEŚĆ HISTORYCZNA Z XVI WIEKU PRZEZ STA.**

(Ciąg dalszy.)

Nie przeczuwała ona, że w tej samej chwili żołnierz, któremu pan Lichtenstein dał jakiś rozkaz na ulicy, wszedł właśnie do kwatery młodych oficerów, którzy siedzieli nad szklankami miodu za stołem.

— No cóż? Któż to jest ta pani? Dowiedziałeś się? — pytał niecierpliwie oficer cudzoziemiec, ledwo żołnierz próg przestąpił.

— Tak jest; do usług pana komendanta! — odparł zapytany, stojąc wyprostowany jak drąg.

— Dalejże, mów wszystko co wiesz! — rozkazał komendant wojsk arcyksięcia Maksymiliana.

— Jest to jaśnie wielmożna panna Bożena Wisłocka na Wisłocku...

Przytłumiony okrzyk wydarł się z ust pana Marka, lecz von Lichtenstein nie zauważył tego, a żołnierz opowiadał dalej:

— Córka starego, znakomitego rycerza pana Wojciecha Wisłockiego, pochodzącego ze srodze i starego i wielkiego rodu, który wszelako teraz podupadł, a siostra jedyna pana Adama rotmistrza i towarzysza pancernej chorągwi jego królewskiej mości, nieboszczyka króla Stefana Batorego.

— A gdzież się obracają obecnie ci dwaj wielcy rycerze? Wiesz i to?

— Tak jest; do usług pana komendanta! Stary rycerz podobnoś słabuje, więc siedzi w domu; pan rotmistrz natomiast jest, jedni mówią nad Dniestrem przy chorągwi, drudzy zaś, że w Krakowie u wielkiego hetmana; są też tacy, co prawią, że młody rotmistrz już w wojsku nie chce służyć, ale się żenić zaraz z okrutnie bogatą panną, którą stary rycerz ojciec obrał.... jeno końca wojny wypatrują.

— Życzę panu rotmistrzowi szczęścia! Niech się zdrowo żeni! — roześmiał się pan komendant — ale wątpię, czy będzie miał tak śliczną żonę, jak siostrę ma... kiedy to stary rycerz pannę wybierał... Lecz mniejsza o to! — kończył oficer a rzuciwszy żołnierzowi garść

pieniędzy, dodał: — Masz; dobrześ się sprawił, możesz odejść!

Żołnierz się skłonił, zrobił zwrot w tył i wyszedł, a pan Lichtenstein obrócił się do swego towarzysza i zawołał wesoło:

— No, panie pułkowniku! mam nadzieję... — ale nagle urwał i spojrzał ze zdziwieniem na pana Marka, który blady był jak trup i pot obcierał z czoła. — Co się stało waszmość panu? — wykrzyknął niespokojnie oficer. — Wyglądasz, jakbyś z trumny powstał, albo ducha zobaczył!

— Nic mi się nie stało — bąknął młodzieniec ochrypłym głosem — słabo mi tylko... pewnie...

— A bo waszmość, panie pułkowniku, nie żyjesz, jak na syna Marsa przystało! — zawołał komendant, który młodego, pięknego panicza bardzo lubił; a że już był wypił, prawie sam, pół gąsiora starego miodu, przeto się wielce rozczulił nad swym towarzyszem i tak prawił:

— Któż to widział, żyć jak mnich! Nie pijesz, nie hulasz, na niewiastę nie spojrzysz, taki to z waści rycerz! A i bez tego życie prowadzimy iście psie! Do djabła taka wojna! Jakiś chłop nas rozbija, jak stado owiec, a my się na wszystko godzimy, prawdziwe barany! Doprawdy, że się słabo może robić zacnemu żołnierzowi! Między nami mówiąc, to jego królewska mość wlazł w taką chryję, jak nie można gorzej! Ale to tam!... Pal djabli!...

Tu pan von Lichtenstein machnął ręką niechętnie, a potem dodał zaraz troskliwie i serdecznie.

— Ale waszmość, panie pułkowniku Siekierzyński, kiepsko wypatrujesz! Napijemy się na większą ochotę i lepsze czasy!

Pan komendant wychylił swoją szklankę, napełnił ją na nowo i trącając się z panem Markiem, który zwolna przychodził do siebie, prawił dalej:

— No, panie pułkowniku! Zdrowie króla jegomości! Bodaj wylazł jak najprędzej z tego błota, w które go ten kochany pan Zborowski wprowadził! I bodaj nas w niem ten wściekły Hołubek, nim wyjdziemy, nie potopił! Stary miód... już to wam trzeba przyznać, panowie Polacy, że miody macie sławne; za to samo warciście miłości!... Zacny trunek! on nam smutne myśli wypłoszy!... Ale przecie pijże waćpan! Bom gotów myśleć, żeś nieszczery Polak! A ja was, panowie Polacy lubię i radbym do was jeno na miód przyjeżdżać!... I gdybym nie był Niemcem, chciałbym być Polakiem! Niech to zaraz licho porwie politykę, wojnę i tę chciwość ludzką, co jej to nigdy swego nie dość.

Pan Marek wychylił nareszcie szklankę, a pan komendant, który lubo nie był wcale opojem, dziś sobie podpił; najpierw z desperacyi, że Hołubka nie schwycił, a potem z uciechy, iż śliczną pannę spotkał, uściskał serdecznie młodego pułkownika odsapnął i znowu począł mówić:

— No, jeszcze jednę! ale tę stojąc wypijemy, bo to na zdrowie tej ślicznej damy, która... jakby mi w pysk dała!... Ale śliczna jest... a od takiej nie żal wziąść i na prawdę w gębę!... Zdrowie mojej śliczności! Jutro zaś pojedziemy z wizytą do Wisłocka, gdzie siedzi stary znakomity rycerz... jak mu to tam na imię?

— Wojciech! — wymówił prawie bezwiednie pan Marek.

— A właśnie! rycerz Wojciech!... Ale waszmość, panie pułkowniku Siekierzyński, masz dobrą pamięć!... Jedziemy tedy z wizytą do starego rycerza, ale wezmiemy z sobą chorągiewkę... do asysty! Kto wie, czy ten znakomity rycerz będzie nam rad?... Wy, panowie Polacy, jesteście wprawdzie gościnny i polityczny naród... chętnie wam to przyznaję... Ale i to się zaprzeczyć nie da, że niech wam co nie pod humor przyjdzie, to djablo niegrzecznie gości przyjmujecie. Jak naprzykład najmiłościwszego króla waszego Maksymiliana. Co mu już ten rozbójnik górnik sadła za skórę zalał, to nie chciałbym zmierzyć! Dobrze, że ten wisielec gdzieś przepadł, i że go tu nie możemy przydybać, bo gotów nam w wizycie naszej

przeszkodzić... szczególniej, że zawsze ma zwyczaj ów bies zjawiać się tam, gdzie go najmniej pragnę! Brzydka natura u tego chłopa! Waszmość! panie pułkowniku, pojedziesz ze mną? Bardzo o to proszę! Przy waści te kpy, nasi żołnierze, lepiej będą stawali; w każdym kamieniu i drzewie widzą te zajęcze dusze tego łotra Hołubka; a ja ich nie będę miał czasu pilnować. Waćpan weźmiesz komendę, a ja tę śliczną damę... Już te wasze Polki, to są!... Jakem von Lichtenstein! nie ma pyszniejszych niewiast na całym świecie!... Każda tak głowę nosi, jakby się do korony urodziła... Ale nic nie szkodzi! Za to piękne... jak boginie!... Wszelako, waszmość, panie pułkowniku, pojedziesz ze mną? Dajże mi słowo i rękę! Nie uczynię ja tam nic niehonorowego, jakem von Lichtenstein!... Bądź waszmość pan spokojny! Więc jakże? Jedziesz waszmość panie pułkowniku ze mną? Nie odmawiaj-że mi, proszę! — nalegając tak pan komendant, ściskał bardzo serdecznie rękę pana Marka.

Ten wahał się chwilę, lecz nagle, jakby powziął mocne postanowienie, oczy zaświeciły mu jakimś tajemniczym ogniem, na uścisk towarzysza odpowiedział uściskiem i rzekł dobitnie:

— Dobrze! Pojadę z waszmością, panie von Lichtenstein, możesz na mnie liczyć. Lecz teraz czas wracać do chorągwi. Ruszajmy!

W kwadrans później wyjechali obaj młodzi oficerowie na czele silnego podjazdu z Olkusza. Jadąc stępa, wolno zagłębiali się w las stary, który długą, ciemną wstęgą czernił się na widnokręgu.

## VII.

Sława Gabryela Hołubka rozbrzmiewająca coraz głośniej, doszła i do Krakowa, przedarła się przez oblężone od nieprzyjaciół mury stolicy i rozradowała serce wielkiego hetmana. Zamojski zdumiał się w pierwszej chwili, że pomoc, której daremnie dotąd wyglądał, przyszła od prostego górnika, ale przypomniawszy sobie męztwo mieszczan i chłopów w wojnie moskiewskiej, dla których on sam upominał się o szlachectwo, przestał się dziwić, a natomiast cieszył się i radował z całej duszy, że znalazł się wierny obrońca Ojczyzny i majestatu w tak ciężkim czasie.

Słuchając pilnie wszystkiego, co mówiono o młodym górniku, wiedział kanclerz doskonale o jego świetnych zwycięztwach, o wielkich stratach zadanych Austryakom, gniewie Maksymiliana i rosnącej coraz więcej potędze nieustraszonego bohatera. Ale gdy się rozeszła wieść, że arcyksięciu przyprowadzili posiłki panowie: Górka, Jazłowiecki, Stanisław Stadnicki, zwany **djabłem**, i inni, wielce się Zamojski zatroskał, bo wiedział, że teraz połową wojska może Maksymilian oblegać Kraków, a drugą walczyć z Hołubkiem, nawet go zwyciężyć i rozbić. Bo lubo siła ochotników zleciała się do młodego wodza, byli to wszystko ludzie z wojną nieobeznani, którym męztwo, zapał i poświęcenie musiały starczyć za sztukę wojowania; po stronie zaś przeciwnej stał żołnierz wyćwiczony, z rzemiosłem rycerskiem obyty, który już niejednę odbył wojnę i niejedno odbył zwycięstwo.

Hetman wielki, jako człowiek doświadczony i znający się na ludziach, sądząc z tego, co słyszał o Gabryelu, miarkował, że ten odważny młodzieniec, to nietylko śmiały żołnierz, ale i wódz przezorny, że przeto nie rzuci się na siły, ktorychby nie zdołał przełamać. Słysząc zaś z jaką zaciętością gnębi arcyksiążęce szyki, jak srodze płaci za krzywdy wyrządzane ludowi, zaczął się Zamojski obawiać, aby Hołubek nie mogąc w kraju mierzyć się z nieprzyjacielem, nie przeszedł granicy i nie wtargnął do ziem cesarskich, płacić za mordy mieczem, za pożogi ogniem, a przez to nie ściągnął na Polskę wojny z cesarzem niemieckim.

W skutek tej obawy, wysłał kilku zaufanych ludzi do Hołubka, którzy przedarłszy się szczęśliwie przez wojska austryackie, przynieśli młodemu wodzo-

wi ochotników ostrzeżenie hetmańskie, aby nie przekraczał granic cesarskich. Ostrzeżenie przyszło w sam czas, bo Gabryel rzeczywiście zamierzał to uczynić, czego się Zamojski obawiał. Rozkaz pozostania w kraju bardzo się przeto nie podobał mężnemu młodzieńcowi; nie chcąc przecież sprzeciwiać się hetmanowi, a pragnąc uczynić to, do czego wyrywała mu się cała dusza, postanowił osobiście rozmówić się ze Zamojskim, w nadziei, że kanclerz przychyli się do jego prośby i pozwoli przenieść wojnę w kraj nieprzyjacielski.

Wyprawa do oblężonego Krakowa była wielce niebezpieczna, bo przechodzić trzeba było środkiem wojsk arcyksiążęcych, przez sam jego obóz. Lecz dla młodego górnika nie było takiego niebezpieczeństwa, z któremby się on nie rad zmierzył; umyślił więc wybrać z pomiędzy swoich ludzi 500 najdzielniejszych zuchów, którzy gotowi byli pójść ze swym wodzem do samego piekła i wziąść w niewolę Lucypera, i z nimi przedrzeć się do stolicy. Jednakże przed tą wyprawą, która śmiercią groziła, pragnął zobaczyć raz jeszcze siostrę; od wyruszenia na wojnę nie widział on jej ani razu, choć krążył w okolicy Olkusza, bo nie miał ani chwili czasu; lecz teraz nie mógł odmówić ani sobie, ani Ludce tego szczęścia, jakiem ich przejmowało widzenie się z sobą. Gabryel wiedział, jak Ludka za nim tęskni, jak serce jej myśli i modlitwy towarzyszą mu na każdym kroku; widział naprzód jej niewypowiedzianą radość, szczęście rozlane w obliczu, oczy błyszczące ogniem zapału, gdy go ujrzy okrytego sławą, a zdrowego i pełnego otuchy, cieszył się na tę krótką chwilę, którą mieli spędzić razem, i myślał sobie, że to może będzie ostatnie widzenie się w tem życiu. Jakże więc nie pojechać, nie pożegnać, nie uścisnąć ukochanej siostry, której gorące przywiązanie do siebie znał tak dobrze?

Urządzając tedy wszystko na czas swej nieobecności, pchnął gońca z oznajmieniem do Ludmiły, że następnego wieczora przybędzie do Olkusza. Pani Adamowa skakała jak dziecko z radości, śmiała się i płakała na przemiany i nie wiedziała już jak ma dziękować Panu Bogu, bo zapowiedź przybycia Gabryela przyszła właśnie na drugi dzień po wizycie panny Wisłockiej, która jej przywiozła wiadomość o mężu, a tu oto czeka ją radość ujrzenia nad życie ukochanego brata! Ludmiła będąc nadzwyczaj żywego temperamentu, odczuwała bardzo silnie tak boleść jako i radość.

To też gdy mrok jął zapadać, Ludka dostała niemal gorączki. Na dworze ciemno było, bo gęste chmury zakryły księżyc będący w pełni; deszcz lał strumieniami, a zimny wicher wył i szumiał wśród nagich drzew ogrodu. Młoda kobieta nie mogła wytrzymać w swoich komnatach, wychodzących na ogród, więc przeszła do starego domu, z którego okien widać było podwórze i kawał ulicy. W wielkiej świetlicy palił się suty ogień na kominie, Ludmiła przystawiła garneczek z winną polewką do ognia, na stole przygotowała obfitą wieczerzę i biegając po izbie niespokojnym krokiem, raz wraz zbliżała się do okna, pragnąc przedrzeć wzrokiem nieprzeniknione ciemności nocy i dojrzeć jak najprędzej przybywającego brata.

Wśród niecierpliwego oczekiwania czas upływał powoli, niepokój Ludmiły wzrastał, gdyż zdawało się jej, że tysiące niebezpieczeństw czycha na Gabryela. Nagle w cichej, ciemnej ulicy ozwał się tętent galopem pędzącego konia; Ludka utaiła oddech w piersiach, twarz przycisnęła do okna i drząc, słuchała. Tętent był coraz silniejszy i bliższy, na jedno mgnienie oka stał przy otwartej bramie dziedzińca, poczem koń w dwóch skokach był przed domem; Ludmiła wydawszy radosny okrzyk, pędem pobiegła do sieni i wyciągnęła ręce, wołając:

— Bracie! Najdroższy bracie, jesteś nakoniec!

Ale zamiast Gabryela ukazała się postać niewieścia, odziana w domową sukmankę, z której strumieniem spływała woda, z rozpuszczonymi i rozwianymi



**POD KRZYŻEM.** (Obacz objaśnienia rycin na str. 272).

przez wiatr włosami, na których lśniły się krople deszczu.

— Maryśka! To ty? — zakrzykła pani Adamowa, poznawszy sierotę, która jej do nóg przypadła i łapiąc w otwarte usta powietrze, szepnęła:

— To ja!... Panienko!... Panienko!

— Dziecko!... Co tobie!... Zkąd się tu wzięłaś?... — wołała Ludka, podnosząc Maryśkę, której szalona jazda, jakiś przestrach, deszcz i wicher zatamowały oddech i zmąciły myśli.

Dopiero, gdy ją pani rotmistrzowa postawiła na nogach i trzymając za ramiona, pyta z trwogą:

— Zkąd lecisz?... Powiadaj przecie!... Dziecko biedne!... — wrzasnęła z wysiłkiem.

— Z Wisłocka!... Tam sąd Boży!... Sąd Boży!...

— Sąd Boży?! — powtórzyła Ludmiła zdumiona. — Przyjdź do siebie!... Co się tam stało?... Na Boga powiadaj!...

— Austryaki!... Austryaki!... O, panienko!...

— O Boże!... Mój brat?... — krzykła Ludka rozdzierającym głosem, chwytając się za głowę.

— Żebym jeno wiedziała, gdzie jest... nie tubym przyleciała! — zawołała Maryśka, która nareszcie przyszła do siebie i odzyskała mowę. — Oj, dałby im pan Gabryel! Ja do was panienko... musicie wiedzieć, gdzie on jest?

— Wiem, wiem! Ale co się stało? Czego chcesz od mego brata?

— Żeby leciał ratować... Austryaki napadli Wisłock... walą do bramy... stary pan się broni... panienka przy nim... Żeby byli psiawiary choć co zapalili!... Pan Gabryel zobaczyłby łunę i już... na karkach im siedzi... ale tak, nie przyjedzie...

Pani Adamowa nie słuchała więcej.

— Hanula! Hanula! Bywaj! — krzykła z całej siły, a gdy przestraszona stara kucharka wpadła do izby, wołała dalej:

— Sokoła każ mi kulbaczyć! A duchem i niech tu przyjdzie matka Maryśki!

Poczem skoczyła do swej komnaty, za chwilę wróciła z kilku sztukami odzieży na ręku i mówiła gorączkowo do wdowy, która już przybiegła.

— Ściągnijcie z Maryśki mokre szaty... tu macie moje suche... niech je oblecze. Nalejcie jej polewki w kubek... tam stoi na kominie. Zmarzło i przemokło biedactwo poczciwe!... Ja zaraz jadę... co koń wyskoczy... jeno niech się tam z siodłaniem spieszą!

Mówiąc tak przerywanym głosem, drżącemi rękoma przywdziewała męskie ubrania, którego trzy różne garnitury przywiozła do Olkusza. Widząc to Maryśka, zawołała:

— Panienko! dajcie i mnie takie same szatki!... Lepiej mi się pojedzie!...

— Masz czas... moje dziecko! Mnie pilno... ty sobie przez noc wypoczniesz...

— Przecie ja tu nie ostanę! Ani was, panienko, samej nie puszczę!

— Musisz... zmęczona jesteś...

— Nie, nie, złota panienko! Ady już pozwólcie jechać mi ze sobą! — błagała sierota, obejmując kolana pani Adamowej.

Ta wzruszona, drżąca, objęła głowę dziewczęcia i serdecznie ją ucałowała, odmawiając jednak; ale gdy i wdowa jęła prosić, aby nie jechała sama, lecz Maryśkę wzięła z sobą, rzekła ze łzami w głosie:

— Bóg ci zapłać! poczciwe dziecko!... Jedźże już ze mną — a zwrając się do wdowy dodała:

— Każcie tedy osiodłać jej świeżego konia... ale prędko! Na miły Bóg, prędko! Ja zaraz szatki męskie przyniosę... będzie w nich Maryśce wygodniej i cieplej.

Przez kwadrans trwała w całym domu, sroga krzątanina: słudzy biegali, światła migały w oknach, słychać było nawoływania, szybkie rozkazy, stukanie drzwiami; ale potem naraz wszystko ucichło, tylko dwóch jeźdźców wyjeżdżało wolno z dziedzińca, kłusem przejechali miasto, lecz ledwo minęli ostatnie domy, pomknęli co tchu w koniach. Wicher rozpędził chmury, pyzata

twarz księżyca wyjrzała z za poszarpanych obłoków, a w jej bladem, zielonawem świetle migały dwie ciemne postacie, które z wichrem w zawody leciały w stronę Rabsztyna.

W tym samym czasie w rabsztyńskim zamku, w sali jasno oświetlonej, siedział Gabryel w towarzystwie starosty i Semena, który miał zastąpić wodza w czasie jego wycieczki do Krakowa i ostatnie dawał polecenia.

— Wnet ja tu będę z powrotem — mówił Hołubek — ale tymczasem miejcie się na baczności i unikajcie bitwy, bo Maksymilian ma znaczne siły... trudnoby było oprzeć mu się. Zapadnijcie w lasy, każda chorągiew osobno i siedźcie cicho aż do mego powrotu.

— Dobrze, panie komendancie! Będzie się pilnować przed tymi najeźdzcami, a uszy wyciągać — rzekł Semen, kręcąc wąsa — nie zrobią nam nic, jakem szlachcic i żołnierz!

— Czaty rozciągniej, waćpan szeroko — mówił dalej młody wódz — abyśmy wiedzieli o każdym kroku nieprzyjaciela; on zaś nie powinien nic o nas wiedzieć. Niewielkie nasze oddziały łatwo się ukryją w lasach. Wszelako, mimo pozornego rozproszenia chorągwie niech będą ze sobą w styczności jako zwykle czynimy.

— Stanie się wedle woli waszej, panie komendancie — odparł stary szlachcic i chciał coś mówić dalej, lecz nagle drzwi się szybko otwarły i jeden z żołnierzy, trzymających przed zamkiem wartę, wpadł do sali, a oddawszy ukłon wojskowy, zawołał:

— Mości komendancie, dwóch młodych paniczów przybiegło na spienionych koniach i na nic nie zważając, drą się gwałtem do zamku, do pana komendanta.

— Puścić ich! — rozkazał Gabryel, a Semen dodał:

— Pewno nowi ochotnicy!... Wali się to, a wali bezustanku!

Hołubek wstał, a w tej samej chwili dwóch smukłych młodzieńców wbiegło do komnaty i Semen rzuciwszy okiem, szepnął:

— O to jakieś mleczaki! — lecz spojrzawszy raz drugi, wykrzyknął:

— W imię Ojca i Syna! Sen czy jawa? A toć to sama pani rot...

— Wymowne spojrzenie wodza wstrzymało starego od wypowiedzenia reszty, który sam teraz zmiarkował, że byłby się wygadał w obec starosty, iż Ludmiła jest mężatką, podczas gdy ją wszyscy uważali za pannę. Gabryel poznał także siostrę, więc podbiegając do niej i chwytając ją w objęcia, zawołał:

— Siostro moja najmilsza, czyż się to godzi przybywać tu samej na pożegnanie?... I jeszcze w taką porę!... Właśnie miałem jechać do ciebie.

— Ja nie z pożegnaniem — odparła zdyszanym głosem. — Po pomoc przybiegłam do ciebie, bracie!... Austryacy w Wisłocku szturmują do zamku, pan Wojciech się broni!... Ratuj!...

Płomienie uderzyły na twarz młodzieńca, chwycił się za głowę, wołając:

— Zkąd wiesz? Zkąd wiesz o tem?

Pani Adamowa w kilku słowach opowiedziała bratu to, co wiedziała od Maryśki.

— Pięćset żołnierzy, którzy mieli iść ze mną i są gotowi, na koń! — krzyknął grzmiącym głosem Gabryel, a ściskając siostrę, dodał:

— Niech ci Bóg płaci, żeś tu przybiegła!... Wypocznij i czekaj mego powrotu!

Potem szybko przypasając szablę do boku i zatykając pistolety za pas, pytał Maryśki, jak wielka siła napadła zamek, ale dziewczę nie umiało mu na to odpowiedzieć. Więc ucałowawszy gorączkowo Ludkę i zawoławszy:

— Niech będą i wszystkie chorągwie arcyksięcia, idziemy w pięćset koni natychmiast! — wypadł ze sali wraz z Semenem.

W kilka minut potem pięćset wyborowych żołnierzy Hołubka, z młodym wodzem na czele, pędziło co koń wyskoczy, w stronę Wisłocka. W niespełna pół godziny poszedł za nim Semen z dwoma chorągwiami; reszta zaś sił miała czekać w pogotowiu na dalsze rozkazy Gabryela.

Dworzec w Wisłocku, choć stary i drewniany, był kiedyś bardzo warowny. Z czasem przecież, gdy możny ród Wisłockich podupadł i nie było za co w dawnej świetności utrzymywać starego gniazda, opustoszało ono i podupadło; obsunęły się wały, fosa zarosła krzewami, łańcuchy zwodzonego mostu rdza zjadła i miejsce przestało być obronne. Jednakże same zabudowania tak były zbudowane, że przystęp do nich był niełatwy. Od głównego dworca biegły dwie długie oficyny, jak dwa ramiona tworząc w środku wielki dziedziniec, zagrodzony naprzeciw dworu dwoma stajniami, pomiędzy któremi była wjezdna potężna brama. Z tyłu dworca był mały ogród kwiatowy, oddzielany fosą od wielkiego sadu i rozległych ogrodów warzywnych, pasieki itd. (Ciąg dalszy nast.)

# JAWNOGRZESZNICA.

Roją się tłumy, dokoła wesele,
I lutni dźwięki i cymbałów brzęk;
W cudnej zieleni kolumn kapitele,
Wszędzie woń kwiatów, i rozkosz i wdzięk.

Ciężkie, jedwabne u wejścia zasłony,
Gmach cały złotem i kryształem lśni;
Ucztują goście, grzmią muzyki tony,
Aż echo od nich w oddali gdzieś drży.

I płynie gwarna, swobodna rozmowa
O władztwie Rzymu, o rządach Piłata,
O radzie starszych — tajemnej dla świata,
Co prawa ludu i zakon swój chowa,
O dziwnym człeku, o mężu nieznanym,
Który, jak gwiazda, zajaśniał Judei.
»On hasła wiary, miłości, nadziei
Głosi przed ludem, od wieków wybranym;
Wielką miłością ku bliźnim przejęty,
Uczy pokory, woła przebaczenia,
Leczy choroby i duszy cierpienia,
Wszędzie się zjawia jak Zbawca, jak święty!
Spojrzenia jego człowiek nie wytrzyma:
Prorok to wielki, posłannik Jehowy,
Co z praw Mojżesza tworzy zakon nowy,
Co z sercem dziecka łączy moc olbrzyma.
Mnogie już rzesze nawrócił ku Panu
I teraz spieszy do nas z za Jordanu.«

Tak gwarzą goście, a z nimi społem,
Wychyla czarę, siedząc za stołem,
Młoda i piękna jawnogrzesznica.
Nikt się nie oprze wdziękom jej lica:
Spojrzenie dziewy dumne i śmiałe,
Jak śnieg Libanu ząbki jej białe,
Uśmiech palący jak wschodu znoje;
Rąbek przejrzysty, w szerokie zwoje,
Z ramion jej nagich spływa niedbale;
Świecą brylanty, kwitną korale,
A włos jej kruczy, dokoła głowy,
Oplótł nadobnie sznurek perłowy.

W sercu dziewicy troska nie gości.
Na wagę złota rozkosz miłości
Sprzeda każdemu, i na jej twarzy
Rumieniec wstydu już się nie żarzy.
Lecz mowa, którą słyszy zdumiona,
Budzi niepokój w głębi jej łona;
Draźni ją Mistrza potęga święta,
Więc rzecze z dumą: »Jam nieugięta!
I ten wasz prorok, posłannik Boży,
Swojem spojrzeniem mnie nie zatrwoży.«

A wtem się zbliża mąż jakiś młody,
Postać wspaniała, cudnej urody;
Natchnieniem piękne oblicze płonie,
Jasność niebiańska otacza skronie,
Z oczu nieznana bije potęga,
Co poza światy gdzieś w przyszłość sięga
Aż do Jehowy górnych podnóży:
Takim być musiał archanioł Boży,
Gdy na skinienie swojego Pana
Mieczem ognistym strącił szatana.

Dziewica płonie, w dół spuszcza oczy,
Ale po chwili znowu zuchwała,
Z czarą we dłoni z miejsca powstała,
Wdzięków swych urok cały roztoczy
I zapienioną podając czarę,
Tak do przychodnia z pogardą rzecze:
»To ty, co nową wygłaszasz wiarę,
Co nas do skruchy wiedziesz, człowiecze.
Znękany postem w dzikiej pustyni,
Chcesz nas pokory uczyć prostaczej?
Śmieję się z twojej doli tułaczej,
Śmieję się z twojej ducha świątyni!
Patrz — to nauki mojej czciciele!
Ja tutaj rządzę, dumna swą władzą;
Spytaj, czy oni tobie oddadzą
Rozkosz i wino za twoje cele!«

Jeszcze ta mowa w powietrzu brzmiała,
Jeszcze się dziewa śmiać nie przestała,
Kiedy szmer głuchy powstał na sali:
»Ona się myli« goście — szeptali
»To nie jest Chrystus, prorok Judei,
To uczeń Jego, Jan z Galilei.«



**NIEPEWNY SWEGO.** (Obacz objaśnienia rycin na str. 272).

Niedbale słuchał on sprosnej mowy,
Kiedy w ślad za nim przyszedł gość nowy,
Pokorny, cichy, jasny i czysty;
Świeci pogodą wzrok promienisty
I smętność jakaś wieje z oblicza;
Czoło zaległa myśl tajemnicza;
Złocistą falą z przecudnej głowy
Spływa włos bujny na dwie połowy,
Skromna przychodnia odziewa szata;
Młodzieńcza broda usta oplata
I nikt nie widział jeszcze ni razu
Takiego oczu jasnych wyrazu.
Cisza głęboka legła dokoła,
Jak gdyby wionął oddech anioła,
I w sercach błogość była nieznana;
Każdy ciekawie patrzy na Pana,
A on, w milczeniu stojąc głębokiem,
Ogarnął wszystkich spokojnem okiem,
I jasny promień Boskiej źrenicy
Na owej dumnej spoczął grzesznicy.
Promień ten przenikł w głąb jej istoty,
Rozwidnił serca ciemne otchłanie;
Przed okiem duszy nieubłaganie
Stanął jej obraz własnej sromoty,
Pojęła wtedy jak wielkie siły,
Jak wielkie skarby dane jej były,
I grzechem swoim brzydząc się skrycie,
Gdy na nią padło Boskie spojrzenie,
Odgadła karę i przebaczenie,
Odgadła w sobie nowe już życie,
Lecz świat ją więził; więc drżąca cała,
Chwilę tak jeszcze w milczeniu stała.
Chwilę.... i z jękiem grzesznica blada
Przed majestatem Zbawcy upada,
Jak smukła palma, gdy ją grom Boży
Jednym pociskiem w prochu położy.

# O DAWNEJ POBOŻNOŚCI W POLSCE.

Niegdyś wśród cnót jaśniejących u nas, jedną z najwydatniejszych była pobożność. Cały naród tchnął szczególnem nabożeństwem, do którego wiodły go przykłady starszych, wiodły matki, zapalając młodociane serduszka dziatek swoich świętą miłością Stwórcy; wiedli ojcowie bogobojni, przekazując synom testamentem jako najszacowniejszą spuściznę, pobożną książkę. Taki nam przykład zostawił Symeon Lubartowicz Sapieha, który w ostatniej woli swojej zostawia synowi modlitwy, z poleceniem, aby umierając, toż dziedzictwo synowi swojemu przekazał.

I pobożne prababki nasze dawały z siebie w tym razie budujące przykłady; w domowem zaciszu poczynały one dzień od modlitwy. Naprzód wstawszy rano, odmawiały litanią do wszystkich Świętych z całym dworem swoim, do czego i maluczkie dziatki należały. Następnie pani pobożna odmawiała pacierze kapłańskie z książki na ten cel dla niej na polski język przełożonej, po tem wszystkiem szła pieszo do kościoła, gdzie na przyniesionym pod płaszczem polanie drzewa klęcząc, odprawiała zwykłe nabożeństwo. Za powrotem z kościoła najpierwszem zatrudnieniem było pani domu rozdawać jałmużnę ubóstwu ze skrzynki jedynie na ten cel przeznaczonej, albowiem wiara ich objawiała się miłosierdziem.

Codzień idąc na spoczynek, bogobojna pani czyniła rachunek sumienia, roztrząsając dzienne sprawy swoje, za winy serdecznie żałując i poprawę przyrzekając. Raz do roku albo więcej prababki nasze zamykały się na rekolekcyach w klasztorze, lub mieszkaniu na ten cel w pałacu lub domach urządzanem. Niektóre co Czwartek umywały nogi ubogim, nawiedzając szpitale, gotowały w nich jeść i karmiły niedołężnych, opatrywały chorych. W domach zaś swoich wychowywały ubogie sieroty, z tych jedne posażąc, za mąż wydawały, drugie sposobiły na przykładne zakonnice. Ze szczególną troskliwością pobożne panie przestrzegały moralności domowników. W nieobecności mężów swoich bogobojne panie wiodły życie zakonne w miejscu na ten cel przy domowej kaplicy urządzonem. Częstokroć wdowami zostając, nie wchodziły w nowe związki, ale oblókłszy czarny ubiór, wytworne stroje składały na ozdoby ołtarzy Pańskich, i wyrzekając się tak dobrowolnie świata, poświęcały się modlitwom, postom i dobrym uczynkom.

Niekiedy też i młode dziewice nie

wstępując do klasztoru, wyrzekały się świata. Przykład podobny zostawiła nam historya w Zuzannie Amenda, która przed biskupem w kościele św. Barbary w Krakowie, w obec zebranego ludu i krewnych ślub podobny wykonała; poczem niesioną przed nią złotą koronę drogimi kamieniami i perłami sadzoną, serce z czystego złota i pierścień ślubny z napisem: Chrystusowi nieśmiertelnemu Oblubieńcowi Zuzanna Amenda przez te znaki oddaje się na wieki, i te wszystkie upominki, padłszy na kolana, na ołtarzu złożyła. Po śmierci swoich rodziców dziewica ta cały spadły na nią majątek przekazała na wykupno więźni i ratunek ubogich.

Również świątobliwe niewiasty polskie pogardzały wystawą; przykład tego widzimy w Jadwidze Królowej, a żonie Władysława Jagiełły, owej rozkrzewicielce wiary świętej na Litwie, matce ubogich, która gdy mąż jej kazał w bogactwo przybrać mieszkanie, rzekła:

»Dawnom ja pompą światową i temi znakomitemi ozdobami pogardziła: wolę się Bogu lichym upodobać sprzętem.«

Mąż zaś pobożny jako pan przestrzegał ściśle, aby czeladka jego przy pokarmie cielesnym miała i pokarm duchowy. Chętnie dawał ubogim jałmużnę, lecz nie pierwej ją udzielił, aż zapytał proszącego, czy umie się przeżegnać, czy umie pacierz, dziesięcioro Bożego przykazania i czy istotnie niezdolny do pracy.

W Wielki Czwartek szpitale nawiedzał, nogi ubogim umywał, lub we własnym domu tę posługę im czynił. Tak i król polski Władysław Jagiełło co rok 12-tu ubogim nogi umywał, darząc ich hojną jałmużną.

Pobożni mężowie przy stole zajmowali się rozmową z duchownymi. Na rekolekcyach zamykali się po klasztorach, a wyjeżdżając z domu na zjazdy lub wojnę, brali błogosławieństwo w kościele, bo wierzyli święcie w owe słowa Pisma świętego: że w ilości wojska jest zwycięztwo, ale cała moc z nieba jest.

Mąż pobożny owdowiawszy, oblókł grube szaty, mieszkanie zaś pokrywał żałobą, ślubując nie żenić się więcej. Co miesiąc wstępował do grobu żony modlić się za jej duszę. Widząc się zaś bliskim śmierci, ubierał się w świąteczne szaty i spowiadał, błagając ze skruchą na klęczkach spowiednika swego o odpuszczenie win przez życie popełnionych. Wielu też pobożnych mężów, jako i świątobliwych niewiast polskich skończyło życie przy klasztorach, gdzie obrawszy sobie schronienie, uchylali się od gwaru i złudzeń światowych. Wielu majątki swoje łożyło na budowanie kościołów; tak Piotr Dunin 77 na chwałę pańską wzniósł z ciosowego kamienia świątyń. Stanisław Lubomirski mąż wojenny, wojewoda krakowski, dwadzieścia zbudował kościołów; spełniwszy, to mawiał:

Miałem się przedtem nieźle, jakom się począł dzielić z Bogiem fortuną, sam nie wiem, jak mi Bóg wszystko pomnaża.

(Dokończenie nastąpi).

## Strach ma wielkie oczy.

(Dokończenie.)

Mrówie mnie przeszło, usłyszawszy tę wiadomość. Włosy podniosły mi czapkę, stałem, jakby mnie kto był pałką uderzył. Nie mógłem zebrać na razie myśli. Trwało to jednak chwilę tylko.

— Poszukać kogobądź we wsi, niech jedzie natychmiast po doktora.... rozbudzić karbowego i ludzi ze wsi, niech przyjdą ratować Jasia... okładać go... trzeć... ja zaraz tam idę... — wydobyłem jednym tchem, oglądając się za ubraniem na drogę,

— No, słyszałeś pan, czego stoisz?

— Jaśnie pan jedzie — mówi płaczliwym głosem...

— Jadę, no i co?

— A cóż my nieszczęśliwi mamy począć?

— Idźże pan do kaduka! — zawołałem gniewny. — Cóż ja wam mogę pomódz. No, prędzej, ratować biednego chłopca. Jakże tam z Fijałkowską?

— Posłałem dziewkę po sołtysa, żeby księdza przywiózł... Bóle podobno ustały, ale ledwo dyszy... I mnie coś karza pojechał karbowy, więc opowiedziawszy ekonomowi, jak ma przyjąć lekarza i zostawiwszy pieniądze na lekarstwa, wsiadłem do bryczki, zapowiając, że wrócę po południu. Droga była zła, ziemia pokryta skorupą śniegową, którą krają koła, zatem tem więcej nierówna, przytem tu jama z wodą po pas, tam kamień, o który, gdy koło uderzy, zdaje ci się, ze podskakujesz niby piłka elastyczna o łokieć nad siedzenie. Konie dosyć szybko jednak pomknęły i na



**Buty juchtowe tatusia.** (Obacz objaśnienia rycin na str. 272.)

przechodzi, jaśnie panie... Nie wiem, czy mnie pan zastanie przy życiu.

— Eh! panie Sieczkowski, kto to zaś widział poddawać się smutnym myślom. Bądźże pan mężczyzną. Napijemy się wódki, mam tu z kroplami.

Jakoż po owym napitku zrobiło się nam rzeźwiej, bośmy też palnęli dwa spore kieliszki. Obejrzałem Jaśka — prawda! słowo w słowo toż samo, co u Fijałkowskiej; chłopak jęczy, trzymając się za żywot i tak samo czernieje...

Tymczasem i świtać zaczęło, po lekarza... godzinę dziewiątą byłem już w mieście powiatowem. Mijam dom pana naczelnika, który patrzy właśnie oknem. Poznaliśmy się z nim niedawno i polubili nawzajem.

Opowiedziałem mu wypadek. On wytrzeszczył oczy, popatrzał na mnie z zdumieniem i niedowierzaniem i odzywa się:

— Nie może być, toć dotąd nawet w mieście nie wydarzył się wypadek. Zkądby się zatem na dalekiej wsi wziąć mogła?

Ja staram się go przekonać że tak jest, że dawnemi laty widziałem chorych na cholerę i że wszelkie oznaki nie pozwalają wątpić.

— Skoro tak, to będzie mi trzeba tam pojechać. Zabiorę lekarza i cyrulika, a łaskawy Pan zechce mi udzielić gościnności.

Zaczęto się nawzajem zabierać, ja podążyłem ku dworcowi kolejowemu. W drodze przyszło mi na myśl zapytać się Franciszka, zkąd pochodzi Fijałkowska; kto wie bowiem, czy tam nie panuje cholera, której zarodki do nas przywiozła.

— Pewnie z Łukowa — odpowiedział głosem, jakby go ta sprawa dalej nie obchodziła.

— A nie słyszałeś, czy tam jest cholera w Łukowie?

— Na jarmarku nie gadali ludzie o tem, więc nie będzie.

— Zkąd się mogła u baby wziąć cholera? — przemówiłem z niechęcią, jakby sam do siebie.

— Proszę jaśnie Pana, to nie cholera.

— Jak to nie! — zawołałem obruszony — toć ja chyba ją będę znał. Mój wujek bowiem także zmarł na nią, a byłem przy zgonie jego. Cóż za choroba podług ciebie, jeśli nie cholera?

— A czy wielmożny pan mnie nie zdradzi?

— Dla czegóżbym miał cię zdradzić? — pytam rozbawiony tą obawą jego.

— Oto wydała się ona przed moją, która ją tarła, że te wszystkie leki po próżnicy, bo oni z Jaśkiem napili się wczoraj tej wódki z h a l e o s e m, którą wielmożny pan trzyma dla koni w przedpokoju i że ją to lekarstwo tak stargało; widzi wielmożny pan ona jest kobieta pijąca, a nie miała za co posłać po wódkę do karczmy, więc wzięła się do onej butelki.

— A czemużeś mi niedołęgo nie powiedział o tem, gdyśmy byli w domu!

— Cóżem to miał gadać, kiedy mnie nikt nie pytał, a we dworze okrzyknęliby mnie za bajczarza, co ino panu bajki zanosi. Dla tego niech mnie też wielmożny pan nie wydaje...

— A ty myślisz, że ta choroba pochodzi od tego aloesu?

— Od czegóżby, kiedy nawet czuć było od niej okowitę i haleos, jak się było nad nią nachylić.

Zmieniło się położenie. Rzeczywiście spora butla z aloesem rozpuszczonym w okowicie stała za szafą w przedpokoju; nie zamykałem jej, bom nie przypuszczał, aby się znalazł ktoś, któryby się odważył pić podobnie gorzki eliksir koński. Ale co tu poradzić teraz? Po lekarza posłano, naczelnika niepotrzebnie zaniepokoiłem, ale nie szkodzi. Przynajmniej nie potrzebują się obawiać, że żona, gdy wróci, nabawi się cholery.

Pociąg tymczasem nadjechał, żona z dziećmi wysiadła z niego i ruszyliśmy ku domowi, ciekawi, jaki też tam zastaniemy porządek. Patrzę, przed dworem pełno furmanek, a w pokojach kilkanaście osób: naczelnik, jego sekretarz, wójt, pisarz, sołtysi, dwóch lekarzy, ksiądz, felczer i Bóg wie, kto. Odprowadziwszy żonę do jej pokoju, pierwsza rzecz była zobaczyć butlę z aleosem w przedpokoju. Pusta, ani kropli, a pamiętałem dobrze, było jeszcze wczoraj eleksiru z pół kwarty — niema tedy wątpliwości, że Franciszek prawdę powiedział. A tu panie za mojem wejściem do kancelaryi, gdzie obradowano nad środkami leczniczymi, ogólny krzyk, jak mógłem, jak miałem sumienie zwozić żonę i dzieci w takiej chwili.

— A czy to rzeczywiście cholera? — pytam komisyą.

— Najprawdziwsza — odpowiada lekarz.

— Cholera m o r b u s czy n o s t r a s — przebąkuje drugi lekarz, po którego posłałem. — Wszystko na to wskazuje, kurcze i to i to... Siność twarzy...

— A jakże się mają?...

— Życie ich w mocy Pana Boga — dodaje proboszcz, kurcze ustały, ale jedno i drugie tak osłabione, że tylko opatrzyłem ich olejami świętymi, bo spowiadać się nie mogli...

— Dałem środki wstrzymujące — mówi znów lekarz — ale panie łaskawy sił brakuje, sił... gdyby wcześniej mnie wezwano...

— Szczególna rzecz — wtrąca naczelnik — że nie możemy dojść, zkąd się zaraza wzięła. Przecież nigdzie nie wybuchła, w promieniu przeszło dziesięciu mil jej nie spostrzedz.

— Możebym ja mógł wskazać przyczynę choroby? — powiadam.

— Czy pan dobrodziej nie wierzy, że to cholera nostras? — wtrąca urażony lekarz.

— Eh, to trudno — powiada sekretarz, piszący protokuł, chcąc ułagodzić nieprzyjemne zajście.

— Wola Pana Boga — dodaje proboszcz — której opierać się nam, ani nad nią mędrkować nie trzeba...

— Jednakże ja popróbuję wskazać przyczynę — mówię na to, wynosząc butlę próżną z przedpokoju — oto w tej butelce była zaraza choleryczna.

— Żarty — odpowiada doktór.

Ja opowiedziałem wszystko, co i jak się stało. Lekarze najpierw patrzeli pochmurnie przed siebie, że los im takiego figla wypłatał, ale wnet rozjaśnili oblicza i wszyscy do późna w noc cieszyli i bawili się tą chorobą pani Fijałkowskiej.

Pani Fijałkowska, choć miała świętą cierpliwość i wyrozumiałość dla słabości ludzkich, nie mogła jednak przełknąć rozmaitych gorzkich pigułek, jakiemi ją obdarzano z powodu tego wypadku i w krótkim czasie opuściła tę wieś niewdzięczną.

KONIEC.

# NIETOPERZE.

(Ciąg dalszy.)

Uszy te mają liczne poprzeczne fałdy, a zwierzę, baczne na najmniejszy szelest, ciągle niemi strzyże, tak że tylko podczas spoczynku ruch ten uszu ustaje. Długość ciała zwierzęcia dosięga 8 centymetrów, samego zaś ucha $3^1/_2$ centymetrów. Siąg skrzydeł dochodzi do 24 centymetrów, jest to zatem jeden z największych naszych nietoperzy; barwa jego ciała jest ciemno-brunatna, pod spodem nieco jaśniejsza. Wszędzie w środkowej Europie pospolity, daje się nawet oswoić i utrzymywać w mieszkaniu, lecz posiadacz takiego oswojonego nietoperza, jeśli nie zamierza robić nad nim szczególnych spostrzeżeń, nie wiele będzie miał z niego przyjemności.

Gromada gładkonosych nietoperzy rozproszona jest po ziemi w licznych gatunkach; listkonose również są liczne. Do tych ostatnich właśnie należą gatunki, którym przypisywano straszliwą żądzę krwi. Któż nie słyszał o krwiożerczym wampirze, który śpiącym ludziom i zwierzętom krew wysysał? Nie jest to zupełną bajką, ale opowiadania o tem są niesłychanie przesadzone i dały powód do przesądu, rozpowszechnionego zwłaszcza we wschodniej Europie u ludów słowiańskich i rumuńskich, w bajkach o upiorach. Takiemi upiorami mieli być ludzie, którzy po śmierci wracali na ziemię, aby żyjącym ludziom krew wysysać i nią się karmić. Bajki te przeszły w dziedzinę poezyi ludowej i pieśń niejednokrotnie je powtarza. Serb na wspomnienie Vukodlak'a, Rumun na wzmiankę o Nosferatu albo Strigoi, zachodni słowianin na nazwę upiora, wilkołaka lub strzygi wstrząśnie się ze zgrozy, owładnięty zabobonnym strachem. Chociaż nie w tak wysokim stopniu, to jednak ta wiara w krwiożercze istoty istnieje na Pomorzu, w Prusach wschodnich i w Brandenburgii.

Chętka do wysysania krwi jest wrodzoną niektórym listkonosym nietoperzom i zaprzeczyć temu nie można. Austryacki przyrodnik Kolenati stwierdził ją w sposób niewątpliwy u małego

podkowca zamieszkującego całą Europę. Znalazł on pewnego razu w kopalni wapna na Morawach pewną liczbę tych zwierzątek, uśpionych w towarzystwie uszaków, czyli długouchów i zabrał je z sobą do domu, dla czynienia nad niemi spostrzeżeń; wpuścił je do izby i zostawił w spokoju. Przez pewien czas wszystko było w porządku, lecz gdy pewnego ranka przyprowadził z sobą przyjaciela, aby mu pokazać swoją izbę nietoperzą, z wielkiem zadziwieniem ujrzał, że sześć podkowców zostało zupełnie pożartych, tak, że po nich zostały tylko końce palców i pazury; siódmy miał głowę okropnie pogryzioną. Liczne ślady krwi, zakrwawione pyszczki i wydęte brzuszki wszystkich uszaków, świadczyły wyraźnie, że one to były sprawcami mordu, a zbadanie żołądka podejrzanych o morderstwo osobników przekonało ostatecznie, że uszaki pomordowały podkowców. Lecz spostrzeżono przytem, że błony lotne uszaków miały w pobliżu ciała świeże rany, z brzegami gębczasto nabrzmiałymi; zawieszone były w kupie, trzymając się jeden drugiego zadniemi łapkami, tak że tworzyły dachówkowato ułożone grona; podkowce zaś znajdowano pojedyńczo, wciśnięte w najodleglejsze kryjówki. Wniosek ztąd był bardzo prosty: oba gatunki, wrogo względem siebie usposobione, wypowiedziały sobie w nocy wojnę. W czasie pierwszego snu uszaków, podkowce napadły na nie i poraniły chcąc się dostać do ich krwi; uszaki zaś skorzystały ze snu wrogów i zemściły się pożerając ich do szczętu.

Osławionem pod tym względem zwierzęciem jest zamieszkały w południowej Ameryce, w Gujanie nader pospolity wampir, zwierzę mające 15 centymetrów długości i do 70 centymetrów siągu, z wierzchu ciemno-kasztanowate, pod spodem żółtawo-siwo-brunatne, z dużemi, podłużno-okrągłemi uszami, i małym, wązkim, lancetowatym płatkiem na nosie, osadzonym na szerokiej szypułce. Głowę ma grubą i długą, pysk wydłużony; uzębienie wydaje się straszniejszem niż jest w istocie, gdyż owady stanowią niewątpliwie największą część jego pożywienia; wierzchnia warga jest gładka, ale na dolnej z przodu znajdują się dwie duże nagie brodawki będące może w związku ze zdolnością do wysysania krwi, chociaż to jeszcze nie zostało udowodnionem. Stwierdzono, że wampir wysysa krew, zwłaszcza jucznym bydlętom podczas ich snu, lecz krew nie stanowi wyłącznego jego pokarmu; żywi się on, podobnie jak inne, pokrewne mu gatunki, owadami, czasem też owocami a dopiero stara się dopaść krwi, gdy mu braknie zwykłego pożywienia. Lecz już od czasu odkrycia Ameryki, umysły zostały wzburzone opowieściami o krwiożerczości wampirów, zaczerpniętemi od krajowców przez hiszpańskich i portugalskich awanturników. Podług nich, całe karawany jucznych zwierząt padały ofiarą tych nienasyconych potworów, a nawet ludzie nie byli pewni życia. Cicho, bez wydania najmniejszego szelestu unosił się wampir w powietrzu i ruchem swych skrzydeł chłodził twarz śpiącego, aby go w głębszy jeszcze sen pogrążyć. Podobne opowiadania rzeczywiście były w stanie ochłodzić chętkę nie jednego do poszukiwania zysków w tych złotodajnych krainach, gdzie można było pełnemi garściami zbierać złoto i odrazu się wzbogacić.

Nie potrzeba nawet dowodzić, że w tych opowieściach nie ma ani cienia prawdy. Już hiszpański oficer i przyrodnik, Don Feliks de Azara, podróżujący w końcu zeszłego stulecia po południowej Ameryce w celu uregulowania granic, stwierdził wprawdzie krwiożerczą naturę »Mordedor'a«, jaką to nazwę nadał wampirowi, lecz przytem przekonał się o jego nieszkodliwości. Na grzebieniu i na płatkach policzkowych uśpionych kur, na koniach, osłach, mułach i krowach, dostrzegał on ranki z nabrzmiałymi brzegami, nawet na własnem ciele, gdy sypiał pod otwartem niebem, albo w namiocie polowym i uczuł się cztery razy w palce u nóg ugryzionym. Lecz podobne ugryzienie, jak sam się przekonał i co późniejsi bada-

cze stwierdzili, nie przedstawia żadnego niebezpieczeństwa, gdyż przecina tylko skórę. Już Azara zapewnia, że wampir wysysa tylko krew z naczyń włoskowatych skóry i że nigdy nie stosował żadnych leczniczych środków na te ranki, które mu wcale chodzić nie przeszkadzały; mniema on, że zwierzę wtedy tylko ucieka się do ssania krwi, gdy mu braknie innego pokarmu. Przyrodnik Rengger nie słyszał o żadnym wypadku w którymby wampir rzucał się na ludzi, ale ze sto razy widział powstałe z tego powodu ranki na mułach, koniach i wołach. Powiada on: »Ranka lejkowatego kształtu ma zwykle około pół centymetra średnicy, czasem nieco więcej, a także stósownie do miejsca ukąszenia, większą lub mniejszą głębokość, lecz nie sięga nigdy przez skórę aż do mięśni. Nie widać na niej nigdy odcisku zębów, jak we wszystkich ranach gryzionych, ale zawsze brzegi nabrzmiałe. Nie mogę zatem przypuszczać, aby nietoperz zadawał te rany zwierzętom zębami, przyczem ugryzione zwierzę, pod uczuciem bólu, musiałoby się obudzić i pozbyć swego prześladowcy. Sądzę raczej, że nietoperz stara się wprzód za pomocą warg skórę znieczulić, używając warg na podobieństwo bańki chirurgicznej, a potem gdy nabrzmieje, robi w niej lekkie nacięcia zębami. W powstałą ztąd rankę zapuszcza on, jak mi się zdaje, wydłużający się, zdatny do ssania język, przez co powstaje lejkowata ranka.

Że nietoperz podczas ssania krwi z ranki, nie może jednocześnie poruszać skrzydłami, to jest widoczne z ich budowy. Ponieważ błona lotna zrosła jest z nogami aż do stopy, nie może zatem zwierzę trzymać się nogami i niemi jednocześnie poruszać, chybaby ssał unosząc się w powietrzu; sam zaś widziałem nietoperze zawsze siadające na konia, przyczem muszą składać skrzydła.

(Dokończenie nastąpi.)

# OBJAŚNIENIA RYCIN.

**Niepewny swego.** Mamy przed sobą gospodarza, który zaopatrzył pewnie gospodynią miejską w wyroby rolnicze — może jej przyniósł masła, może jaj. We drzwiach mieszkania widzimy gospodynią, przypatrującą się gospodarzowi odchodzącemu. Biedak tak jest zatopiony w liczeniu pieniędzy, które odebrał, że nic w koło siebie nie widzi. Liczy, czy aby za mało nie otrzymał. Gospodyni śledzi go wzrokiem, gotowa służyć mu wyjaśnieniem, gdy tego będzie potrzeba — ale pewnie do tego nie przyjdzie.

**Pod krzyżem.** Dzieje się to w Wielki Piątek. Żałoba oblega wtedy cały świat chrześciański. Wszyscy rozpamiętują mękę i śmierć Tego, który rodzaj ludzki wybawił z niewoli grzechu, który wskazał mu właściwą drogę, ażeby zyskał szczęśliwość doczesną i wieczną, który położył święte życie w imię dokończenia dzieła, w imię tej nauki, która tak ogromnego przewrotu dokonała w świecie i dziś jeszcze jest wyrazem uwielbienia w oczach największych niedowiarków. Wizerunek tego mistrza Boskiego znajduje się w kruchcie każdego kościoła. Otóż zbliża się do niego matka z dziecięciem, i każe temuż ucałować nogi Zbawiciela. Dziecię czyni to z dziwnym wyrazem czci. Matka pobożna zaszczepiła już w niem widocznie miłość do Zbawiciela i do Boskiej Jego nauki, do naszej wiary świętej.

**Buty juchtowe tatusia.** Młodość — płochość, mawiają starzy i mają słuszność. Dziecko, wychowane z troskliwością i pieczołowitością na łonie matki, rozwija się pod wpływem miłości macierzyńskiej z pogodą i swobodą umysłu, które mu nie pozwalają poważniej zapatrywać się na świat Boży. Jakże to szczęśliwe są lata dziecka, które nie zazna już za młodu goryczy, jakiej świat nikomu nie skąpi. Wszystko do takiego dziecka należy. Umysł jego wrażliwy wszystkiem się zajmuje, wszystko go bawi i zachwyca. Nasz mały Jaś na obrazku zwrócił uwagę na buty ojca swego. Nie ma własnych jeszcze, więc pragnie zobaczyć, jak się chodzi w butach tatusia. Jakąś dziwną robi minę. Myślał, że i on będzie mógł butów tatusia używać i paradować w nich. Tymczasem — o dziwo — jego obie nogi mogłyby się pomieścić w but tatusia. Nie może tego pojąć, żeby tatuś miał tak wielkie nogi i z pewnością wyrazi mu śdziwienie swoje, gdy tenże wróci do domu.

Nakładem i czcionkami Wydawnictwa »Katolika« w Bytomiu G.-Szl. — Redaktor odp.: Adam Napieralski w Bytomiu.

# Handlarz nosów.

Trzech wesołych wędrownych siedziało w oberży małego miasta przy stole i opowiadało sobie wzajemnie rozmaite przygody z życia, których większa część zdarzyć się mogła chyba na księżycu, ale nie na naszej mizernej ziemi. Czas się bardzo do tego nadawał, bo na dworze lało jak z cebra, a ołowiane chmury zaległy niebios sklepienie.

Przysiadł się także i gospodarz oberży do tej wesołej drużyny. Choć oczywiście nie wierzył nawet w dziesiątą część tego, co nałgali, ale tem więcej za to go opowiadanie bawiło.

Jeden z nich zaczął opowiadać, że podróżuje z nosami ludzkimi i niejednokrotnie już udało mu się zrobić na nich dobry interes.

Gospodarz rozśmiał się serdecznie i zapytał:

— Powiedz mi Pan jednak, zkąd to pochodzi, że pański chlebodawca potrzebuje tyle nosów?

Podróżny odpowiedział:

— Wiedz pan, że mój chlebodawca jest nadwornym dostawcą. I to będzie panu wiadomem z pewnością, że rozdaje czasem ordery, czasem nosy, stósownie do zasługi.

Na to odpowiedział gospodarz, którego ta sprawa coraz to więcej zaczęła bawić i zaciekawiać:

— Ale przecież ludzie nie są tak głupimi, żeby za parę bzdurnych groszy kazali sobie nosy obcinać?

Na to ów podróżujący:

— Co prawda nie są oni tak głupimi. Ale cóż naprzykład umarłemu po nosie? Chlebodawca mój kupuje żywe nosy, ale odbiera dopiero nosy umarłych osób, a płaci za nosy dobrze.

Gospodarz począł łgarzowi dowierzać i przyszedł do przekonania, że co prawda, umarli nosów niepotrzebują, a dla czegóż ich nie spieniężyć w dzisiajszych tak ciężkich czasach. Niby więc od niechcęnia zapytał się wędrownego:

— Powiedz mi pan, dużobyś dał naprzykład za mój nos?

Wędrowny się uśmiechnął, wyjął z kieszeni miarę i wymierzył potężny ogórek gospodarza ze wszystkich stron, jak prawdziwy znawca.

— Zaprawdę — zawołał zdumiony, — widziałem już w świecie bardzo wiele towaru i to towaru wyborowego; takiego nosa jednak na dotychczasowej życia pielgrzymce nie widziałem jeszcze. To nos niezwyczajny. Was bocian przenosił z pewnością przez egipskie piramidy. Nos wasz mógłby być ojcem dwunastu innych nosów. Wiecie gospodarzu pięćset marek dałbym za niego. Sprzedajcie go. Wypłacę wam pieniądze natychmiast. Oczywiście odstąpicie mi go dopiero po śmierci.

Gospodarza zaczęła porządnie łechtać chęć zarobienia pięciuset marek. Przez chwilkę zatopił się w rozmyślaniu, czy nos sprzedać, czy nie sprzedać. Pokusa zarobku pięciuset marek zwyciężyła w końcu. Ponieważ zaś przypomniało mu się w tej chwili przysłowie, że trzeba kuć żelazo, dopóki gorące, więc nie zwlekając ani chwili, zgodził się na sprzedanie nosa. Zastrzegł sobie jednak, ażeby mógł ugodę zerwać, gdyby mu się żal zrobiło tego, co uczynił Chętnie zgodził się w tym przypadku dać pięć litrów dobrego czerwonego wina, które on uważał za najlepsze.

Stanęła zatem wzajemna ugoda. Dwaj wspólnicy podróżującego, z których jeden jak mówił, podróżował z guzikami od spodni, drugi z kawą z figowego drzewa, byli świadkami ugody. Towarzysz ich sięgnął tymczasem po worek.

Zanim jednak przystąpił do zapłaty, wyciągnął małe żelazko i trzymał je nad płomieniem świecy. Gdy zaciekawiony oberżysta zapytał go o powód rozpalania, odpowiedział, że ma polecenie od swego chlebodawcy, ażeby znaczyć niem każdy kupiony nos. Łatwo się bowiem zdarzyć może, że go ktoś inny kupić może, albo że mogłoby przyjść z jakiej innej przyczyny do nieporozumień.

Możecie sobie wystawić szanowni czytelnicy przerażenie oberżysty. Jeszcze żelazka nie czuł na sobie, a już skakał jak oparzony i wyrzekał się na gwałt sprzedaży nosa. Mówił, że pięćset marek byłyby mu miłe, ale jeszcze milszy jest mu nos bez marki ochronnej.

Uciechy z powodu tego wypadku było co niemiara a i pan oberżysta, który jak się to mówi, zwiesił swój nos na razie na kwintę, zaczął się śmiać ze swej łatwowierności. Musiał jednak postawić owe pięć flaszek wina, które się zobowiązał dać na przypadek odstąpienia od ugody. Wychylono je sumiennie aż do kropelki.

## *Czy murzyni mają takie same prawa, jak biali w Stanach Zjednocz.*

Od czasu zniesienia niewolnictwa, murzyni, stanowiący jedną dziewiątą część ludności stanów południowych, zostali zrównani z białymi

pod względem prawnym; rozporządzenie to jednak pozostało martwą literą. Dotąd w południowej i północnej Ameryce, 9 milionów ludzi, różniących się pochodzeniem i barwą skóry od swoich braci rasy kaukazkiej, jest przedmiotym uprzedzeń, pogardy a nawet gwałtów. W Georgii milicya składa się z pułków czarnych i białych; w mieście Atlanta murzyni nie mają przystępu do publicznych bibliotek, a w teatrze wolno im tylko zajmować ostatnie miejsca. W Wirginii nie mogą siadać w tramwajach obok białych; w Tennessee nie są dopuszczeni do sądów przysięgłych. Na kolejach muszą zajmować osobne wagony, w których przedziały dla niepalących nie istnieją wcale. Gdy kaznodzieja protestancki, mulat wsiadł do wagonu białych, pobito go i wyrzucono. W Saint-Louis rząd zamianował murzyna urzędnikiem pocztowym, a biała ludność zażądała jego odwołania. Mulata nie wpuszczą do kościoła; szkoły są osobne dla murzynów, osobne zaś dla białych. We wszystkich stanach prawo zabrania małżeństw mięszanych. Murzynom i mulatom wolno obierać zawód duchowny, prawniczy lub lekarski, ale mogą liczyć na klientelę tylko ze swojej rasy. W Bostonie żaden kupiec nie przyjmie czarnego subjekta lub czarnej sklepowej. Murzyni mogą używać kąpieli morskich tylko w pewnych godzinach. Podczas uroczystości, na pamiątkę wojny secesyjnej w r. 1861—1864, kolorowym weteranom nie wolno było siedzieć przy stole obok białych kolegów. Kiedy do stowarzyszenia pedagogicznego dopuszczono nauczycielkę mulatkę zdolną i wykształconą, wywiązała się taka niechęć, że musiano mulatkę usunąć.

Nie lepiej się dzieje na wsi. Murzynom wzbroniono budować domy obok białych. Robotnicy nie chcą razem z nimi pracować; ślizgawki są dla nich zamknięte. Wstręt do czarnej rasy jest głęboko zakorzeniony. Do Indyan za to Amerykanie nie mają takich uprzedzeń i domieszka krwi indyjskiej nie jest uważana za hańbę.

## Szkoła gospodarstwa domowego
### i pracy domowej dla dziewcząt polskich
### w Śremie,

założona w celu kształcenia dziewcząt we wszelkich gałęziach pracy w zakres obowiązków życia domowego wchodzącej, rozpoczyna kurs nowy z dniem 1-go Września 95 roku i przyjmuje dziewczęta po 14-tym roku życia.

Kurs trwa rok jeden (może przecież być dłuższym, jeżeli uczennica gruntowniej z poszczególną rzeczą chce się obznajomić) i obejmuje:

1. Kucharstwo.
2. Pranie i prasowanie bielizny białej i kolorowej, wełnianych i jedwabnych materyi, koronek, haftów, firanek.
3. Składanie, maglowanie i cerowanie bielizny.
4. Uprzątanie pokoi i usługiwanie przy stole.
5. Szycie ręką i maszyną.
6. Krój sukien i bielizny (haft i robótki na życzenie).
7. Chodzenie koło krów, świń, prosiąt, drobiu.
8. Ogród, obejmuje cieplarnię, inspekta, warzywnictwo i kwiaty.

Teoretyczne wiadomości obejmują:

1. Naukę katechizmu.
2. Pisanie listów i wypracowań na temat zajęć gospodarczych.
3. Rachunki gospodarcze.

Będą także uczennice obeznawane

1. z obowiązkami gospodyni domu,
2. z rozkładem czasu i pracy w zajęciach gospodarczych,
3. z opieką nad dziećmi i domownikami,
4. z zarządzeniem i prowadzeniem gospodarstwa według wymagań hygieny i tak:
   a) co do mieszkań — utrzymanie jego, przewietrzanie, desinfekcya, oświetlenie, opalenie,
   b) co do odzieży — cel, wybór i znaczenie hygieniczne, sposoby prania, czyszczenia i przechowywanie sukien.
   c) co do pokarmów, — skład ich chemiczny i własność hygieniczna (oraz dla tych uczennic, które tego potrzebują, sposób urządzenia i podawiania śniadań, obiadów, kolacyi).

Dążeniem zakładu jest, aby uczennice wydoskonaliły się we wszystkich wyżej wymienionych przedmiotach, jeżeli zdrowie ich i siły na to pozwolą.

Płaca roczna wynosi od 300 m. do 450 m. w kwartalnych ratach praenumerando, za utrzymanie i naukę. Doktor roczny. Uczennice płacą tylko aptekę. — Za szkody zrządzone przez nieuwagę albo zaniedbanie odpowiadają uczennice.

Przełożona szkoły p. F. Szczerbińska w Śremie (Schrimm) udzieli na życzenie wszelkich bliższych wiadomości.

Opiekunem szkoły jest ksiądz Patron Wawrzyniak.

(Polecamy tę szkołę tak użyteczną i potrzebną poparciu rodzin polskich. Redakcya »Światła«.)

# Praktyczne rady.

— **Aby żołądek był zdrów** potrzeba wprowadzać do niego pokarmy doskonale zmiażdżone; do tej operacyi najlepiej służą zęby i dziąsła. Kto dobrych zębów jest pozbawiony, ten niech się żywi albo rozgotowanemi jarzynami, albo mięsem siekanem, lub niech sobie sprawi zęby sztuczne ale dobrze dopasowane do dziąseł; złe sztuczne są gorsze od żadnych — drażnią one i kaleczą dziąsła i mogą się stać powodem niebezpiecznego zapalenia. Po zęby sztuczne udawać się należy do dentystów z uznaną opinią i sumiennych, a nie łaszczyć się na tani towar.

— **Przechowywanie jaj jaknajdłużej.** Rozpuścić w maśle lub w innym jakim tłuszczu 3% kwasu salicylowego (dostanie w aptece bez recepty) i tą mięszaniną powlec skorupę jaja. Kiedy powłoka wyschnie, jaja ułożyć w trociny drzewne ale tak, aby się z sobą nie stykały. Jaja w ten sposób przechowane utrzymają swą świeżość przez rok cały.

# Rozmaitości.

* **Nadzwyczajnym wynalazkiem** jest kinetoskop Edisona, którym obecnie się cieszą Paryżanie. Pamiętają wszyscy tak zwane zooskopy z przed lat niewielu, czyli przyrządy szybko przesuwające szereg kolejnych faz jednego ruchu człowieka, lub zwierzęcia, schwytanych przez fotografie błyskawiczne. Dla patrzącego przez odpowiednio umieszczoną szparkę, różne te najdziwaczniejsze pozycye łączyły się w jeden ruchomy obraz, dający zupełnie złudzenie, że się patrzy na człowieka biegnącego, kota spadającego, konia biorącego przeszkodę itp. Kinetoskop jest tylko ulepszeniem tego pierwotnego przyrządu, ale jakiem ulepszeniem! Oto za pomocą maszyneryi doprowadzony do tego, że można na przesuwającej się jak wstęga kliszy zrobić 46 zdjęć fotograficznych na sekundę, czyli 2740 na minutę. W ten sposób fotografując n. p. scenę teatralną, można schwycić z największą dokładnością przebieg kolejnych ruchów i poz aktorów. Nader zmyślny przyrząd, przesuwający te obrazki, w czasie takim samym, jakiegoby te ruchy wymagały i oświetlenie obrazu elektryczne, dopełniają reszty. Jeżeli do tego zbliżymy fonograf, powtarzający równocześnie schwyconą na jego krążku deklamacyę osób grających tych scenę, widz nietylko ma przed oczami obraz akcyi, ale słyszy, co mówią osoby działające. Słowem cała scena może być oddana wiernie z ruchem i deklamacyami. W ten sposób za 100 lat będą następcy nasi mogli widzieć i słyszeć najdokładniej, jak grali za ich pradziadów żyjący wielcy aktorowie. Zamagazynowane w aparacie przedstawienie będzie można wywołać i powtarzać na każde zawołanie. Pokazywany w Paryżu na bulwarze Poissoniere kinetoskop pozbawiony jeszcze jest tego akompaniamentu. Ale w laboratoryum swojem w Ameryce Edison już to zastósowanie fonografu wprowadził w życie. A gdy rozmiary klisz takich, w tysiące idących fotografii, z natury rzeczy nie mogą być wielkie, przeto dla powiększenia iluzyi spróbował sztucznego powiększenia obrazów przez projekcyę, aż do naturalnej wielkości przedmiotów. Wrażenie i złudzenie ma być nadzwyczajne. Jeżeli to jest zabawką, przyznać trzeba, że zabawka godna XIX wieku. Genialny wynalazca fonografu niewyczerpany jest w swoich pomysłach.

* **Cudowną lampę** wynalazł jakiś Amerykanin. Takowa może się palić 6000 godzin bez przerwy. Mieści się w niej sporo piasku, do którego prowadzą dwa druty. Takowe są połączone ze sobą za pomocą regulatora, którego użyć można do wszystkich elektrycznych kandelabrów. Piasek jest tu głównym czynnikiem, który wywołuje elektryczność, ale jak, to pozostanie pewnie tajemnicą wynalazcy. Koszta materyi, która przyczynia się do wywołania elektryczności, wynoszą około 70 fen. Wynalazek zdarzył się przypadkiem a ma być tak znakomitym, że sam słynny amerykański wynalazca, Edison, który jest przecież mistrzem w wynajdywaniu rozmaitych aparatów elektrycznych, nie mógł ukryć swego zdziwienia. Wynalazca posłał mu pewną ilość piasku. Nie ma obawy, ażeby Edison tajemnicę wynalazku odkrył. Do wywołania elektryczności potrzebny jest pewien rodzaj kwasu, ale to jest właśnie tajemnicą wynalazcy. Światło elektryczne tej lampy ma być niezrównane.

* **Najwięcej soli** dostarcza Wielka Brytania, a mianowicie 2,193,000 ton (tona ma 1,000 kilogramów); wartość jej wynosi 732,000 f. sterl. Drugie miejsce zajmują Stany Zjednoczone Ameryki półn., gdzie produkcya soli dosięga cyfry 880,000 ton; po nich idzie Francya, gdzie wydobywają 739,800 ton, głównie z salin południowych; potem Niemcy, w których roczna produkcya soli wynosi 440,600 ton.

* **Pewien uczony** obliczył na nowo obszar, przecięciową głębią i ilość wody oceanów indyjskich. Najobszerniejszy z nich wszystkich pod każdym względem jest Ocean wielki. Głębia jego przecięciowo wynosi 4083 metry, powierzchnia jego wynosi 161137000 kwadratowych kilometrów, a ilość wody jego wynosi 658 milionów kilometrów kubicznych. Po nim następuje ocean atlantycki. Głębia jego wynosi 3763 metry, objętość 79776000 kwadratowych kilometrów, a obfitość wody 300 milionów kilometrów kubicznych. Ocean indyjski ma średniej głębokości 3650 metrów, objętość jego obejmuje 72563000 kilometrów kwadratowych a obfitość wody 265 milionów kubicznych kilometrów. Z kolei następują morze Północne i morze Południowe. Reszta mórz dochodzi razem do objętości 30748000 kwadratowych kilometrów a obfitość ich wynosi 32½ miliona kilometrów kubicznych. Cała powierzchnia morska na świe-

cie obejmuje ogółem 367900000 kwadratowych kilometrów a obfitość wody wszystkich mórz wynosi 1286 milionów kilometrów kubicznych. Gdybyśmy usunęli z wszystkich mórz wodę a w jej miejsce pomieścili ląd całej ziemi ze wszystkiem, co się na niej znajduje, zapełnilibyśmy zaledwie dwudziestą część głębin morskich. Przerażająca jest zatem objętość morza.

* **Troja** była oblegana przez lat dziesięć, ale to drobnostka w porównaniu z oblężeniem miasta Azat w Syryi. Psametek dobywał go przez 27 lat. Herodot unosi się nad jego cierpliwością, a zdanie to podzielą chyba wszyscy.

## ŻARTY.

Złodziej wszedł raz w nocy oknem do mieszkania ubogiego człowieka i zaczął po ścianach szukać. Ubogi, który nie spał, to tylko rzekł do niego:
— Źleś się wybrał przyjacielu — przyszedłeś tam szukać czego w nocy, gdzie ja w dzień nic znaleść nie mogę!

---

Dwóch żołnierzy przejeżdżało koło chłopa zatrudnionego sianiem.
— Pracuj, poczciwy człeku, — rzekł mu jeden, — ale bądź pewien, iż owocem twoich zabiegów my się cieszyć będziemy.
— To być może — odpowie chłop — ja sieję konopie!

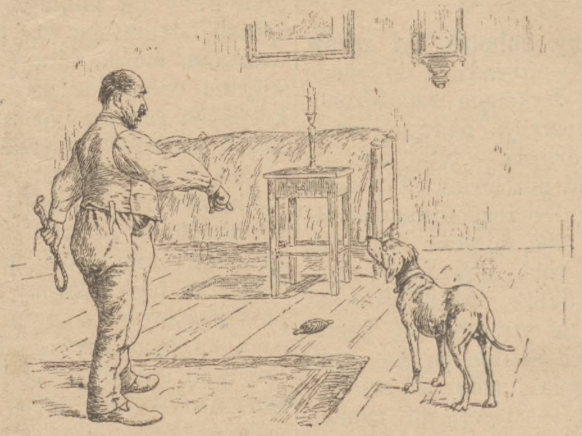
---

W Rouen w Normadyi zgubiono worek dukatów. Znalazca miłością bliźniego powodowany, od dalszej ochraniając go szkody, jeszcze tej samej nocy poprzylepiał na rogach ulic pisemne uwiadomienie następującej treści: „Ostrzegam właściciela zgubionego worka z dukatami, aby nie robił sobie kosztów na ogłoszenie o swej zgubie, gdyż ja go już powrócić nie myślę!“

---

Do jednego literata zamkniętego w swym gabinecie, złodziej, nie wiedząc o nim, piecem wejść usiłował. Gdy już kafel dobył i głową był w pokoju, zobaczył go literat i zapytał:
— Kto tam?...
— Ja...
— A czego chcesz?...
— Czy nie potrzebuje Waćpan lokaja, jestem bez służby!

## Nieprzyjemna przygoda.



Kundys Macieja nie wiele poważa.
Choć ma z podłogi podnieść powrózek,
Nie rusza się jednak; Maciej się odgraża;
Wnet na Kundysie zaciąży batożek.



Trzęsie się Kundys, widać burzę czuje,
Ochotnym być jednak się nie okazuje.
Tu już pan Maciej cierpliwość traci,
Gęstymi razami krąbrność psu płaci.



Puszcza Kundysa — rozkaz powtarza,
I znowu batożkiem przytem wygraża.
Kundys nań patrzy — ból srogi czuje,
Lecz zamiast sznur podnieść, plan jakiś knuje.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Nakładem i czcionkami Wydawnictwa „Katolika“ w Bytomiu.